

„Traviata” w noc otwartych teatrów

FESTIWAL. W sobotę początek drugiej odsłony „Opery bez granic”

Sobotnią premierą Opera Krakowska rozpoczyna drugą odsłonę letniego festiwalu „Opera bez granic”. „Traviata” Verdiego to jedna z najsłynniejszych oper świata. Jej pierwowzorem była powieść „Dama kameliowa” Aleksandra Dumasa syna. Choć historia Violetty, paryskiej kurtyzany, jest wszystkim dobrze znana, warto przypomnieć, że dla odtwórczyni głównej roli jest to jedna z najtrudniejszych partii do zaśpiewania. W krakowskiej realizacji w tej roli usłyszymy: Katarzynę Oleś-Blachę, Edytę Piasecką-Durlak, zaś po wakacjach jeszcze Joannę Tytkowską.

– To bardzo znane dzieło, dlatego stawiamy przed ogromnymi wymaganiami publiczności – mówi Tomasz Tokarczyk, dyrygent, kierownik muzyczny tego przedsięwzięcia. – Mam jednak nadzieję, że uda nam się stworzyć przedstawienie bardzo ciekawe.

Krzysztof Nazar, reżyser „Traviaty”, dla którego opera jest przede wszystkim teatrem, posługującym się muzyką i śpiewem niepozbawionym jednak relacji między bohaterami, zdecydował się w spektaklu pominąć historyczny kostium i społeczny wydźwięk opowieści, a skupić się na emocjach głównych bohaterów.

– Problemem tej opowieści jest śmierć. To historia pełnej życia pięknej kobiety, która dowiaduje się nagle, że jest śmiertelnie chora i jeszcze właśnie w tym momencie pojawia się jej miłość życia. To historia wyborów, strachu

**Festiwal
przyniesie wiele
spektakli,
wystawione
zostaną
produkcje m.in.
z Niemiec i Łotwy**

przed śmiercią – mówi Krzysztof Nazar. – Violetta nie jest słodką idiotką. To kobieta mądra i świadoma swojego losu, a także gier i podłości innych ludzi.

Scenografię do spektaklu przygotował Marek Braun, zaś kostiumy Zofia de Ines. W rolę Afreda wcielił się: Wasyl Grokholskyi, Adam Zdunikowski i Pawło Tolstoj, zaś w rolę jego ojca: Andrzej Biegun, Zenon Kowalski i Leszek Skrzela.

Premiera „Traviaty” rozpocznie Noc Teatrów w Operze Krakowskiej. Podczas gdy na dużej scenie rozgrywać się będzie dramat Violetty, która kocha, lecz musi umrzeć, w Ogrodzie Botanicznym UJ o godz. 20 rozpocznie się „Lekcja śpiewania” zorganizowana wraz z Biblioteką Piosenki Polskiej i kabaretem „Loch Camelot”, tym razem poświęcona operetkowym przebojom. O północy zaś na Dużej Scenie wystawiona zostanie kolejna premiera. Będzie to „Musicodra-

ma, czyli Jubi & Debi”, spektakl wyreżyserowany przez Wojciecha Graniczewskiego, będący jubileuszem Bożeny Zawiślak-Dolny, która tym razem wystąpi na scenie wraz z córką Katarzyną, aktorką Teatru im. Juliusza Słowackiego.

Tego samego dnia w Operze zostanie otwarta wystawa „Re-kreacje” poświęcona innym artystycznym pasjom ludzi sceny. I tak zobaczymy m.in. fotografie Mariusza Kwietnia, obrazy Wiesława Ochmana, żel-arty Jana Kantego Pawluśkiewicza, wachlarze Beaty Malczewskiej czy hafty Iwony Borowickiej.

Podczas XV Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej „Opera bez granic” 25 czerwca w budynku Opery zostanie pokazana operetka „Baron cygański” Straussa w reż. Laco Adamika. Spektakl będzie na żywo transmitowany na telebimie ustawione na rynkach Tarnowa i Nowego Sącza. Natomiast słynne dzieło Verdiego „Bal maskowy” na festiwalową scenę przywiezie Theater Plauen-Zwickau, zaś rzadko wykonywaną operę „Acis i Galatea” Haendla zaprezentuje Collegium Musicum z Rygi.

Finalem festiwalu będzie pięć operowych wieczorów na Dziedzińcu Arkadowym na Wawelu: dwa koncerty „Arie oper świata”, dwa spektakle „Fausta” i gala baletowa „Grand pas...!”, w której udział wezmą tancerze ze słynnych formacji Petersburga, Lozanny i Stuttgartu.

**AGNIESZKA
MALATYŃSKA-STANKIEWICZ**

„Traviata” w Operze Krakowskiej

W sobotę o godz. 18.30 w Operze Krakowskiej odbędzie się premiera „Traviaty” w reżyserii Krzysztofa Nazara i pod dyktando Tomasza Tokarczyka.

W 1848 r. Aleksander Dumas syn wydał powieść „Dama kameliowa”, na polu autobiograficzną, w której opisał własny romans z Marią Duplessis, luksusową paryską kurtyzaną, śmiertelnie chorą na gruźlicę. Powieść stała się bestsellerem i szybko trafiła na scenę. W paryskim teatrze „Dame” zobaczył Verdi i ponoć zaraz po wyjściu z przedstawienia zaczął myśleć o skomponowaniu opery. Libretto napisał stały współpracownik Verdiego Francesco Maria Piave, a premiera odbyła się w weneckim La Fenice w roku 1853. Zakończyła się wielką kłapą: „Fiasko zdecydowane! Nie wiem, czyja to wina, i lepiej o tym nie mówić. Nie powiem ci nic o muzyce, lecz pozwól mi, abym też nic ci nie mówił o wykonawcach” – pisał Verdi do przyjaciela po premierze. Ale już rok później, również w Wenecji, „Traviata” odniosła wielki sukces i wyruszyła na podbój scen Europy.



Bohaterką jest Violetta Valery, paryska kurtyzana, żyjąca szybko, lekko i bez miłości. Na przyjęciu u Flory poznaje młodego Alfreda, który natychmiast się w niej zakochuje. Violetta ule-

ga tej miłości. Wyjeżdża z ukochanym na wieś, porzuca bogatego kochanka. Szczęście kwitnie (choć pieniądze się kończą), ale na wieś przyjeżdża ojciec Alfreda, by ratować go z rąk Violetty.

Violetta zgadza się - choć łamie jej to serce - zostawić Alfreda. W Paryżu, na kolejnym przyjęciu, Alfred znieważa Violetkę, traktując ją jak prostytutkę. Śmiertelnie chora Violetta umiera w pustym mieszkaniu. Alfred, któremu ojciec wyjawiał wszystko, pojawia się tuż przed jej śmiercią. Violetta umiera w ramionach ukochanego.

- W każdym librecie można odnaleźć zaczął wielkiego problemu ludzkiego. Niejednokrotnie libretto operowe są literacko dość kiepskie, ale w każdej literaturze jest jakieś ziarno prawdy o człowieku. I właśnie o tym będzie nasz spektakl. Wychodzimy z założenia, że już na samym początku główna bohaterka, Violetta, dowiaduje się o swojej śmiertelnej chorobie. A taka wiedza bardzo determinuje człowieka, bo albo popada on w załamanie, apatię, szuka jakiegoś pocieszenia miśtycznego, albo w końcu próbuje rozpaczliwie zagłuszyć tę wiedzę w jakimś szaleństwie życia i doraźności, z myślą, żeby w czasie tej euforii zejść z tego świata - mówi Krzysztof Nazar.

JOANNA TARGON

► Reżyseria – Krzysztof Nazar, kierownictwo muzyczne – Tomasz Tokarczyk, kostiumy – Zofia de Ines, scenografia – Marek Braun, choreografia – Zofia Rudnicka, przygotowanie chóru – Zygmunt Magiera, reżyseria światła – Mirosław Poznański.

► Obsada: Violetta Valery – Katarzyna Oleś-Blacha, Edyta Piasecka-Durlak, Joanna Tylkowska; Flora Bervoix – Agnieszka Częstka, Bożena Zawisłak-Dolny; Alfred Germont – Wasyl Grokholyski, Adam Zdunikowski, Pawło Tolstoy; Georg Germont – Andrzej Biegun, Zenon Kowalski, Leszek Skrzytka; Gaston – Janusz Dębowski, Imeri Kawsadze; Baron Douphal – Michał Kutnik, Stanisław Kufluk; Markiz de Obigny/Doktor Grenvil – Wołodimir Pankiv, Bartosz Urbałowicz, Rafał Pawnuć, Krzysztof Dekański; Annina – Karina Wiktor-Katucka, Dorota Mentel; Józef – Paweł Szczepanek, Jan Migala; Postanieniec – Andrzej Wartalski; Służący Flory – Stanisław Knapik.

GAZETA KŁYBORCZA
17-06-2011

17.06.2011

Kraków. Współczesna "Traviata" w Operze Krakowskiej

Do repertuaru Opery Krakowskiej wchodzi jedna z najświetniejszych oper na świecie. Premiera "Traviaty" Giuseppe Verdiego odbędzie się już w sobotę. - Spojrzałem na dzieło Verdiego przez pryzmat współczesności, dlatego duży nacisk położyłem na zarysowanie psychologii głównych postaci - mówi Krzysztof Nazar, reżyser widowiska.

"Traviata" tuż przed premierą zdążyła wzbudzić spore poruszenie wśród widzów. A to za sprawa odstępstw od tradycyjnych inscenizacji. W krakowskiej wersji kurtyzana nie umrze na gruźlicę. - To, czy bohaterka będzie miała chore płuca, nie stanowiło żadnego problemu. Bardziej liczył się sam temat śmierci i wiedza, którą zdobywa o niej człowiek - dodaje reżyser.

"Traviata", której akcja toczy się w oryginale w XIX wieku, zostaje przeniesiona do czasów dzisiejszych. Z wizją reżysera koresponduje scenografia autorstwa Marka Brauna i kostiumy Zofii de Ines. - Wygląd chóru zaskoczy zapewne niejednego widza. Nie chcę zdradzać za wiele. Powiem jedynie, że chór mężczyzn będzie wyglądał niezwykle seksownie, a główna bohaterka w jednej z balowych scen wystąpi w skromnej sukience koktajlowej - mówi Zofia de Ines.

Tytuł oryginalny

Współczesna "Traviata" w Operze Krakowskiej

Źródło:

Materiał nadesłany

Polska Gazeta Krakowska nr 140 online

Autor:

Urszula Wolak

Data:

17.06.2011

Opera Krakowska zaprasza na „Traviatę”

FOT. ANNA KACZMARZ



Opera Krakowska przygotowała dzisiaj premierę „Traviaty” Giuseppe Verdiego. – Każda z kobiet, które odnoszą sukcesy i żyją samotnie w dobrobycie, może być Violetta, bohaterką opery. Także dziś przyjemność, doraźność i jednorazowość to jeden z modeli postępowania – mówi o swej wizji przedstawienia jego reżyser Krzysztof Nazar. Premiera będzie jedną z atrakcji odbywających się w Krakowie „Nocy Teatrów”; zainauguruje także drugą część XV Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej.

Rozmowa z Krzysztofem Nazarem » Kultura, A11

Każda z kobiet może być Violetta

ROZMOWA. Reżyser KRZYSZTOF NAZAR o premierze „Traviaty” w Operze Krakowskiej

DE Podobno to pierwsza Pańska realizacja „Traviaty”?

– To prawda, ale nie przece-
niałbym tego faktu.

– Co sprawiło, że sięgnął Pan
po jeden z najpopularniejszych
tytułów operowych?

– Fakt, że ta opera jest
przez tyle lat wystawiana i że
publiczność ciągle chce jej
słuchać.

– Nie obawia się Pan porównań
do innych inscenizacji?

– Kompletnie się nad tym
nie zastanawiałem. Naprawdę
mnie to nie interesuje, ale nie
odbieram publiczności prawa
do porównań i komentarzy.

– W reklamówce „Traviaty”,
której premiera odbędzie się
18 czerwca, czytamy: „Krzysz-
tof Nazar pomija historyczny
kostium i społeczny kontekst
opowieści, skupiając się na
psychologii bohaterów, ich
emocjach i motywacjach”.

– Nie uprawiam reżyserii
efektów specjalnych, tylko re-
żyserię postaci. W związku
z tym psychologia jest punktem
wyjścia, by znaleźć w librecie
ciekawe aspekty opowiadania,
które byłyby nie tylko zaczątkiem
pracy nad rolą poszczególnych
postaci, ale też pozwalałyby
kreować sytuacje, w jakich te
postaci powinny się znaleźć,
aby wyrazić opowiedzieć swą
emocjonalną historię.

– Co dla Pana było tym podsta-
wowym zaczątkiem?

– Status osoby, która dowia-
duje się, że jest śmiertelnie cho-
ra – w tym przypadku bohaterki
„Traviaty”, Violetty Valery. Po
takiej informacji albo się zala-
mujemy, jesteśmy w depresji,
rozpaczy i czekamy na śmierć,
albo odwołujemy się do Boga,
mistyki, licząc na to, że ukoimy
w ten sposób nasze cierpienie,
bądź też, tak jak bohaterka, za-
nurzamy się w sposób szalony
w wir codzienności, zabawy
i przyjemności. Violetta obraca
się w środowisku, które wybiera
właśnie taki model życia. Przy-
jemność jest najważniejszą war-
tością i bez niej życie nie ma
sensu – tak śpiewa otoczenie
bohaterki, czyli chór.

– I w tym momencie przydarza
się Violetcie miłość. I zaczyna
komplikować sprawę.

– Gdyby nie ta miłość, to nie
byłoby dramatu, konfliktu. Gdy
spotykają się osoby o odmiennych
modelach życia, zawsze
dochodzi do dialogu pomiędzy
tymi postawami. I tak jest w tym
przypadku. Alfred, w przeci-
wnieństwie do Violetty, uważa,
że istnieją pewne istotne i trwa-
łe wartości, które mogą orga-
nizować sens życia. Violetta,
która taką postawę odrzucała
i negowała, zauważa urodę tej
proponycji – może warto jednak



akceptować miłość prawdziwą,
a nie taką jedynie dla przyjem-
ności doznania, dla kolejnego
doświadczenia?

– W librecie, które opiera się
na „Damie kameliowej” Ale-

ksandra Dumasa, syna, Violet-
ta jest kurtyzaną. W Pana rea-
lizacji też?

– W naszych czasach, gdy
w gazetach czytamy anonse
typu „studentka pedagogiki

szuka bogatego sponsora” albo
„70-letnia wdowa sprawna se-
ksualnie przyjmuje od godz.
11 do 24”, pojęcie „kurtyzana”
staje się nieostre. Patrząc na
ten problem historycznie, trze-

ba pamiętać, że XVIII, XIX
wiek to czas, kiedy rozpusta
była wpisana w życie społeczne.
To później dopiero zafał-
szowaliśmy obraz tamtych
wieków. Poczciwy Zola opisuje
różne seksualne ekscesy swo-
jego Paryża i są one bardziej
finezyjne niż opisy rozpusty
we współczesnej literaturze.

– Kim zatem w Pana realizacji
jest Violetta?

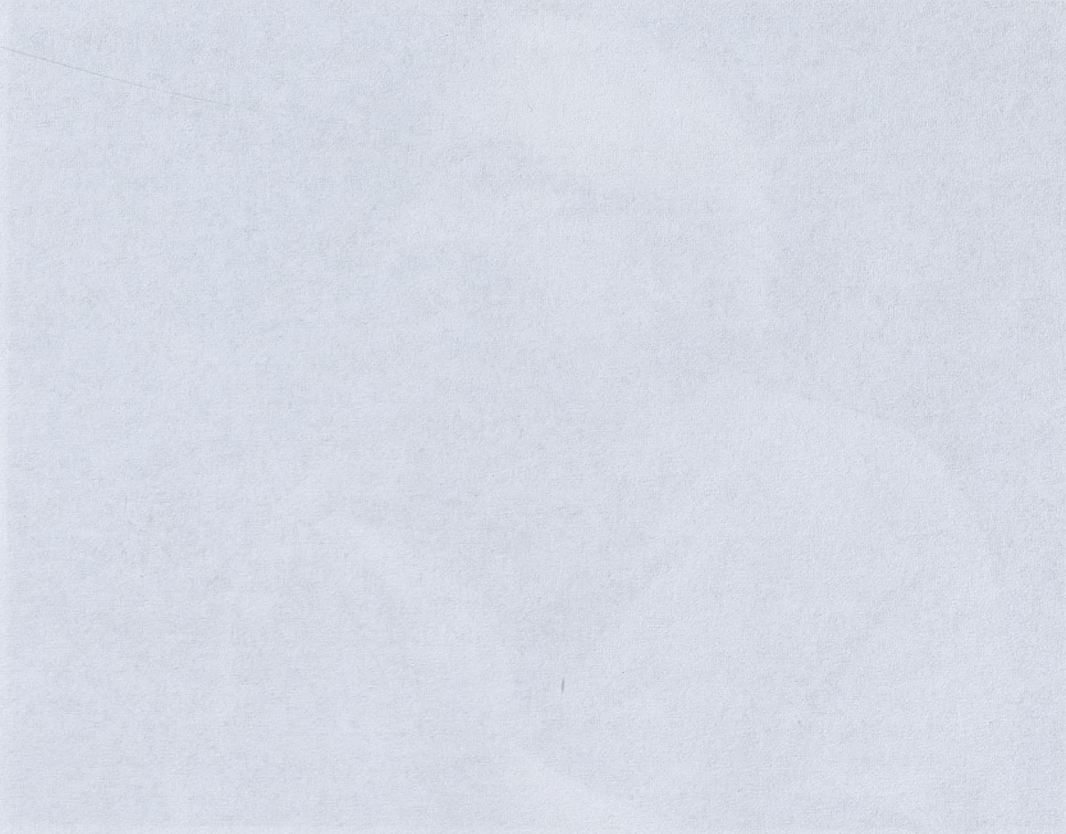
– Kobieta, która chce żyć
łatwo i przyjemnie. Nie okre-
slamy jej zawodu, ale można
sobie wyobrazić, że każda
z kobiet, które odnoszą suk-
cesy i żyją samotnie w dobro-
bycie, może być właśnie taką
Violetką. Także dziś przyjem-
ność, doraźność i jednorazo-
wość to jeden z modeli postę-
powania.

– Z jakich opinii na temat in-
scenizacji „Traviaty” byłby
Pan najbardziej zadowolony?

– Nie myślę o tym. Za to
mam świadomość, że przygo-
towuję przedstawienie w spo-
sób zawodowy, przemyślany
i konsekwentny. Jestem jak
najlepszego zdania o publicz-
ności, która jest wrażliwa
i chętna, aby odczytywać ar-
tystyczne propozycje oraz cze-
ka, by poprowadzić ją przez
świat wykreowany na scenie.

Rozmawiała: AGNIESZKA
MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

Dziennik Powszechny
18-06-2011
2/2



Opowieść o miłości i śmierci

Z OPERY

ANNA WOŹNIAKOWSKA

„Traviata” Giuseppe Verdiego jest jedną z tych oper, które zawsze przyciągają publiczność do teatrów muzycznych. Nie więc dziwnego, że Opera Krakowska przygotowała nową jej inscenizację. W sobotę, 18 czerwca, na inaugurację XV Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej, odbyła się premiera „Traviata” to w zamyśle librecisty i kompozytora kobieca upadła, kurtyzana, która, choć poza nawiasem społeczeństwa, zdolna jest do wzniosłych uczuć i największych poświęceń. Jest nie tylko wielką romantyczną heroiną ale i – poprzez swą przedwczesną śmierć – oskarżycielką powszechnie panującej obłudy XIX-wiecznego establishmentu. Krzysztof Nazar – reżyser i inscenizator krakowskiej premiery – w bohaterce opery ujrzał współczesną singielkę hołdującą użyciu, która w pewnym momencie zmierzyć się musi z dwoma

przeciwstawnymi doznaniaми: dowiaduje się o śmiertelnej chorobie i spotyka po raz pierwszy prawdziwą miłość. To swoiste uwspółcześnienie nie kłóci się z pierwotną ideą dzieła, kładzie natomiast większy nacisk na psychiczne i uczuciowe relacje pomiędzy jego bohaterami, których odtwórcy muszą przekonać słuchaczy do swoich racji. Muszą też – jak to w zwyczaju u Krzysztofa Nazara – wykonać mnóstwo scenicznych działań, bo reżyser jest wrogiem statyczności. Muszą też oczywiście śpiewać i to dobrze śpiewać. W sobotę troje głównych bohaterów: Edyta Piaśnicka-Durlak jako Violetta Valéry, Adam Zdunikowski – Alfred Germont i Zenon Kowalski w partii jego ojca, po pierwsze pięknie śpiewali, po drugie, wykazali się (szczególnie Violetta i Alfred) nie lada sprawnością fizyczną, po trzecie wreszcie, stworzyli przekonujące postaci. Dzięki nim ta inscenizacja „Traviaty” mogła wzruszać. Chwilami

jednak mogła też wzbudzać mieszane uczucia.

Ascetyczna scenografia Marka Brauna podkreśliła niewielkie rozmiary krakowskiej sceny, której przestrzeni dodać miały ruchome ściany wywołujące jednak wręcz przeciwny efekt. Przykry dla ucha jest szelest papierowych kwiatów mających symbolizować wiejskie gniazdko miłosne pary kochanków. Jeśli w I akcie królująca na scenie kanapa rzeczywiście służy bohaterom opery, to szpitalne łóżko w finale, na którym nie sposób spać pościel podnoszona troskliwie przez Aninę (Karina Wiktor-Kałucka) jest jedynie oparciem dla niej i obu panów Germont, gdy Violetta umiera na gołej ziemi. Twórczyni kostiumów Zofia de Ines oscyluje pomiędzy współczesnością i stylizacją. Jeśli Violetta żyje współcześnie, co sugeruje I akt i pierwsza odsłona II aktu, jeśli historyzm strojów na balu u Flory (w tej partii Bożena Zawislak-Dolny) można wy-

tłumaczyć właśnie balową przebieranką, to dlaczego w finale garnąca się do życia Violetta chce ubrać balową suknię?

Mam też pretensję do Tomasz Tokarczyka, który spektakl muzycznie przygotował i poprowadził w sobotę, o chwilami zbyt szybkie tempo, w których muzyka Verdiego nie mogła należycie wybrzmieć. Czyżby zgorączkowanie reżyserii udzieliło się także dyrygentowi? Mimo tych pretensji wyszłam z Opery zadowolona, bo nad minusami przeważały jednak plusy. W tym odczuciu nie przeszkodziła nawet ewidentna wpadka rytmiczna jednego z wykonawców na samym początku spektaklu. Kładę to na karb premierowego zdenerwowania. Całość została przygotowana starannie, wszyscy wykonawcy dobrze wywiązali się ze swych zadań, ładnie śpiewał chór przygotowany przez Zygmunta Magierę.

W ostateczności zwyciężyła miłość i genialna muzyka Verdiego.

Dr. GdNik Palski

20-06-2011

20.06.2011

"Traviata" w Krakowie: miłość, życie i śmierć

"Traviata" w reż. Krzysztofa Nazara w Operze Krakowskiej w Krakowie. Píše Łukasz Maciejewski w Polsce Gazecie Krakowskiej.

Krzysztof Nazar usiłował przełożyć "Traviatę" Giuseppe Verdiego na język współczesnej psychoanalizy. Niektóre koncepcje sprawdziły się lepiej, inne gorzej. Największym plusem widowiska w Operze Krakowskiej jest partia Violetty w wykonaniu Edyty Piaseckiej-Durlak.

W przedstawieniu najważniejsza jest świadomość choroby. Violetta nie jest zakochaną kurtyzaną znaną z większości inscenizacji "Traviaty". To dziewczyna ceniąca ponad wszystko radość życia, ale na pewno nie występna. "Libiamo, libiamo" - głupstwem jest wszystko, co nie jest przyjemnością; śpiewa z przyjaciółmi w bodaj najpopularniejszym fragmencie "Traviaty". Przestona śmiertelnej choroby oraz wybuch miłości do Alfreda (Adam Zdunikowski zmienia jednak oblicze kobiety. Przyjmuje okrutne warunki starego Germonta, ojca Alfreda, ponieważ wie, że niewiele zostało jej życia. Najpierw chciała wyszaleć się do końca, aż do kresu, potem - zakochana - uczyniła ofiarę z opuszczającego ją życia, w końcu, skazana na udrękę, została przede wszystkim samotna. Światowcy z jej otoczenia zniknęli, nie ma już maskarad ani tańców. Cały majątek Violetty to kozetka, drewniane krzesło i udręka umierania.

Verdi podkreślał, że napisał tę rolę dla śpiewaczki najwyższej miary. Edyta Piasecka-Durlak być może nie do końca poradziła sobie aktorsko ze skomplikowanym, opierającym się na zmienności zachowań zadaniem, ale jej wyborna kreacja wokalna wyrównuje wszystkie niekonsekwencje psychologiczne. To, moim zdaniem, najlepsza partia w karierze tej śpiewaczki.

W spektaklu Nazara zdecydowanie brakuje natomiast perwersji. Zwłaszcza pierwszy akt, który powinien być gejzerem zmysłowości i dolce vita, wydaje się dziwnie zgaszony. Występna Violetta, świadoma zbliżającego się kresu, powinna być lubieżna i zachłanna na

życie, w krakowskiej "Traviacie" jest natomiast jedynie zawstydzoną mieszczką, przechadzającą się w cieniutkiej koszulce nocnej. Sprawia wrażenie jakby tęskniła raczej za ciepłym kocikiem i wełnianymi bamboszami, niż za seksualnym ształem.

Szczęśliwie, w przeciwieństwie do kilku wcześniejszych inscenizacji w Operze Krakowskiej, tym razem obyło się bez rozzuchwalonego kiczu w scenografii. W końcu oszczędzono nam taplania się śpiewaków w kałuży, malowideł na kawałku dykty, albo tandetnego paryskiego buduaru. Skromność, a nawet asceza scenograficzna, z trafnie wyeksponowanym motywem gigantycznych okien, symbolizujących otwieranie i zamykanie serca i życia bohaterki, integralnie uzupełniała historię rozgrywającą się w większym stopniu w psychice bohaterów.

W tej konwencji dobrze odnaleźli się odtwórcy pozostałych partii. Alfred Germont to kolejna udana kreacja wokalna Adama Zdunikowskiego, pozytywnym zaskoczeniem był dla mnie również Zenon Kowalski w roli Georga Germonta. Powściągliwy w ruchach, zdyscyplinowany, nienaganny wokalnie, Kowalski szczególnie wzruszył mnie w scenie, kiedy Violetta prosi go, żeby przytulił ją niczym córkę. Zenon Kowalski zagrał tę trudną scenę bez jednego fałszywego ruchu. Warto na koniec podkreślić także dobrze prowadzoną przez Tomasza Tokarczyka orkiestrę, pozwalającą wybrzmieć głosom śpiewaków na tle wolumenu dużego zespołu instrumentalistów.

"Czas to osądzi" - miał stwierdzić Verdi po klęsce pierwszego wystawienia "Traviaty" w La Fenice w Wenecji, w 1853 r. Opera Verdiego po latach została osądzona więcej niż życzliwie. Stanowi żelazny punkt repertuaru wszystkich teatrów operowych na świecie, łącząc niezrównaną melodykę z zawartą w librecie wzruszającą historią ofiary miłości na styku życia i śmierci. Najnowsza inscenizacja Krzysztofa Nazara w Operze Krakowskiej udowadnia, że dylematy te są zawsze aktualne.

Tytuł oryginalny

"Traviata" w Krakowie: miłość, życie i śmierć

Źródło:

Materiał nadesłany

Polska gazeta Krakowska nr 142 online

Autor:

Łukasz Maciejewski

Data:

20.06.2011

Współczesnej Traviacie ze śmiercią jest do twarzy



OPERA

Walcząc z tradycją, reżyserzy stosują nowe pomysły, ale one szybko się starzeją, co widać w Krakowie

Dla „Traviaty” Verdiego teatr ma dziś jeden klucz interpretacyjny. Ponieważ nikt nie uwierzy, że miłość może nie kończyć się happy endem, bo kochanków dzieli różnica klas, inscenizatorzy zamieniają tę operę w opowieść o śmierci. Jej bohaterka jest nieuleczalnie chora, rozpaczliwie szuka zapomnienia w zabawie, chce jeszcze przeżyć prawdziwą miłość.

Reżyserzy uważają też, że widz nie jest w stanie wysłuchać kilku minut uwertury, jeśli nie towarzyszą jej sceniczne obrazki. Swoją myśl na „Traviatę” objaśniają zatem już przy muzycznym wstępie. W Operze Krakowskiej Violetta ogląda wyniki tomograficznego badania. Wyrok zapadł, jedyne, co może zrobić, to nadal się bawić.

Zgodnie z tym standardem toczy się przedstawienie w reżyserii Krzysztofa Nazara. W scenach zbiorowych, w sposobie wykorzystania głównego mebla – designerskiej kanapy – widać inspirację słynną wersją Willy’ego Deckera z Salzburga z 2005 roku

(obecnie do oglądania w nowojorskiej Metropolitan).

Również akt drugi – z Traviatą i Alfredem w porannym negliżu – utrzymany jest w klimatach Deckera. Dopiero w scenie bału, gdy choreografka Zofia Rudnicka ciekawie połączyła tancerzy i chórzystów, przedstawienie zyskuje własny rys.

Teatr chce za wszelką cenę zwalczyć stare konwencje, w tej walce stosuje powtarzalne chwyt, więc popada w kolejny schemat. I tak współczesne sukienki i garnitury stały się równie banalne jak krynoliny i fraki.

Przedstawieniu w Operze Krakowskiej brak też emocjo-

nalnej szczerości. Ciągłe ktoś pada, siada lub chowa się za ruchomymi zastawkami, ale nie jest to wyraz przeżyć bohaterów. Oglądamy raczej realizację kolejnych zadań aktorskich. Do reżysera dostosował się dyrygent Tomasz Tokarczyk, orkiestra gra starannie, ale chłodno.

„Traviata” może nadal wzruszać, jeśli jest w niej zar, namiętność i odrobina tajemnicy. Teatr woli dziś dosłowność, łatwiej zresztą pokazać jednoznaczną diagnozę lekarzy, niż wyrazić na scenie przeżywanie śmierci. W Krakowie trudno jednak przejąć się losem bohaterki, która w ujęciu Edyty Piaseckiej-Durlak

jest zbyt jednowymiarowa i pozbawiona subtelności, w wielu momentach także wokalne.

Adam Zdunikowski (Alfred Germont) śpiewa z kolei z operową egzaltacją. Jedyne gdy pojawia się Zenon Kowalski (Germont senior), spektakl zyskuje właściwszą temperaturę. Dramat człowieka, który źle oceniwszy wybrankę syna, doprowadził do tragedii, jest tu przejmujący. Starego ojca Verdi uczynił głównym bohaterem kilku innych oper, w Krakowie zaś znalazł się on na pierwszym planie w sposób nieprzewidziany. Także przez reżysera.

— Jacek Marczyński

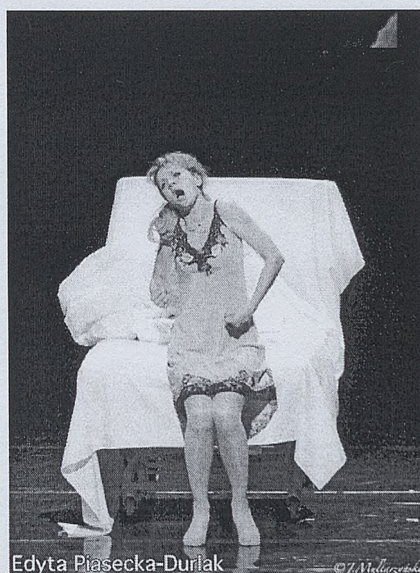
Edyta Piasecka (Violetta)
i Adam Zdunikowski (Alfred)

RZEC205POLITA

21-06-2011

„Traviata” w Krakowie

Znając dzisiejszą popularność tego dzieła trudno pojąć, że prapremiera *Traviaty*, która odbyła się 6 marca 1953 roku (po zaledwie trzech tygodniach prób) na scenie weneckiego Teatro La Fenice i była jedną z największych klęsk w życiu Verdiego. Opera i jej wykonawcy zostali przez publiczność bezlitośnie wygwizdani. Dlaczego?



Po pierwsze, nie budzący zaufania tytuł: *Traviata* - oznaczający w przenośni kobietę upadłą, która zesłała z właściwej drogi. Kurtyzana jako główna bohaterka opery i to ukazana jako postać szlachetna zdolna, w imię prawdziwej miłości, do największego poświęcenia? Odczytano to jako prowokację dla mieszczańskiej moralności. W dodatku akcja rozgrywająca się w połowie XIX wieku, czyli współcześnie.

Dramat *Violetty* był zarazem jawnym oskarżeniem pruderyjnych stosunków panujących w owych czasach. Szlachetność kurtyzany i jej czysta miłość to było coś co szokowało i nie mieściło się jeszcze w ówczesnej mentalności. Verdi po raz pierwszy w swojej twórczości odwołał się do współczesnej rzeczywistości rozgrywając całą akcję w konwencjach dramatu mieszczańskiego i literatury realistycznej. Po drugie, zawinili wykonawcy. Verdi otrzymał w tej sprawie anonimowy list, w który przestrzegano go przed fiaskiem prapremiery jeżeli nie znajdzie innego basa, a zwłaszcza lepszej primadonny. I stało się, korpulentna Salvini-Dnatelli nie dość, że fatalnie śpiewała, to jeszcze zupełnie nie przekonywała w roli delikatnej chorej kobiety. Graziani potraktował partię Alfreda w sposób zupełnie chłodny, a świetny baryton Varesi był tego wieczoru niedysponowany. Wszystko to złożyło się na klęskę prapremierowego przedstawienia. - Nie zrozumieliście niczego z mojej muzyki - powiedział prapremierowym wykonawcom Verdi.



A jednak Verdi wierzył w wartość swojego dzieła, toteż zbytnio się nie opierał kiedy przyjaciel i wydawca Antonio Gallo poprosił go o ponowne przejrzanie partytury i dokonanie drobnych poprawek i retuszy. Czternaście miesięcy po klęsce w La Fenice *Traviatę* wystawiono 5 czerwca 1854 roku ponownie również w Wenecji, ale już w Teatro San Benedetto. Tym razem główne partie śpiewali: Maria Spezia (Violetta), Francesco Landi (Alfred) i Filippo Coletti (Germont). Sukces przeszedł wszelkie oczekiwania. Nie było jeszcze w Wenecji sukcesu równego sukcesowi *Traviaty* - napisał do nieobecnego na premierze Verdiego Ricordi. I tak już zostało, dzisiaj należy ta opera do najczęściej grywanych. Można zaryzykować stwierdzenie, że nie ma w roku wieczoru, by gdzieś w świecie nie ożywała na nowo tragiczna historia paryskiej kurtyzany i młodego arystokraty. Najświeższą jej wersję zaproponowano w Operze Krakowskiej - premiera 18 czerwca, na inaugurację XV Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej.

Inscenizacja jest dziełem Krzysztofa Nazara i jest od początku naznaczona znamionami śmierci głównej bohaterki. Wszystko: pusta pozbawiona zwyczajowych rekwizytów scena, współczesne kostiumy, oświetlenie buduje konsekwentnie nowoczesnymi środkami klimat nieuchronnego dramatu. Już w trakcie orkiestrowego wstępu do I aktu na scenie pojawia się słaniająca się Violetta, której doktor Grenvil zdrada jej śmiertelną chorobę.

I tu mała uwaga, jak powszechnie wiadomo bohaterka *Traviaty* umiera na gruźlicę, a nie na chorobę neurologiczną, dlaczego więc towarzyszą temu obrazy tomografii komputerowej mózgu? W podobny sposób zaczyna się scena finałowa, nad sceną biegnie zapis EKG, tyle tylko, że zbyt regularny jak na obraz umierającej osoby. Właśnie te dwa obrazy spinają niczym kłama całą inscenizację w tonacji szaro-czarnej. Niestety, co jest w środku nie bardzo mi odpowiada i do końca przekonuje.



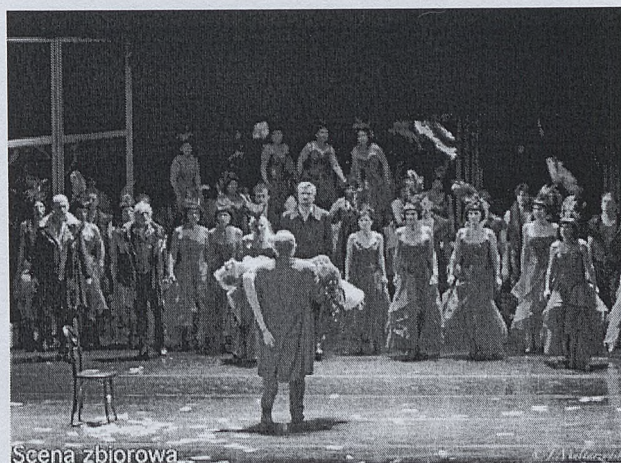
Pierwszy akt, w którym króluje szara kanapa (wypisz wymaluj jak w salzburskiej inscenizacji Willego Deckera z 2005 roku) pozbawiony jest większej dynamiki, no chyba że uznać za nią bieganie chóru. Na dodatek reżyser niczego tutaj nie buduje, nie ma szalonej zabawy, zmysłowej atmosfery, a słynne „Libiamo” przechodzi bez większego wrażenia, podobnie jak narodziny uczucia głównych bohaterów. Drugiemu brakuje dramaturgicznej zwartości, a wyprowadzenie słynnej gry w karty na tył sceny też nie bardzo mi się podobało, ale i tak ten obraz zyskał najpełniejszy kształt.

W trzecim Violetta większość czasu spędza na kolanach, wcześniej też Alfred kilka razy ciska nią na deski sceny. Wszystko to budzi mieszane uczucia. Z jednej strony piękna historia o kobiecie, która dowiaduje się o śmiertelnej chorobie, a zaraz po tym spotyka po raz pierwszy prawdziwą miłość. Z drugiej mnogość niepotrzebnego gestu i zewnętrznej szamotaniny oraz czasami naiwnej symboliki, z czym musieli sobie poradzić śpiewacy. Na dodatek większość tego co dzieje się na scenie ociera się o sztuczność i brak emocjonalnej szczerości



Edyta Piasecka-Durlak i Adam Zdunikowski

W obsadzie najbardziej ujął mnie Zenon Kowalski prowadzący nienagannie frazę, skupiony i oszczędny w każdym ruchu przekonująco oddał dramat ojca Alfreda, który złą oceną wybranki syna, doprowadził do tragedii. Edyta Piasecka-Durlak jako Violetta, po niezbyt udanym pierwszym akcie, później z dużym powodzeniem kreśliła wokalnie i aktorsko obraz swojej bohaterki. Adam Zdunikowski w partii Alfreda zaprezentował nie tylko właściwą ekspresję, ale również nieco operowej egzaltacji.



Scena zbiorowa

Tomasz Tokarczyk, przy dyrygenckim pulpicie jakoś nie chciał dostrzec w partyturze wielu niuansów brzmieniowych, szczególnie w obu orkiestrowych wstępach. Zabrakło mi również tej pulsującej tanecznej lekkości i śpiewności, pod którą czai się od samego początku dramat głównych bohaterów.

Adam Czopek

22-06-2011

4/4

Tabela 1. Wyniki badań jakości wody w rejonie wylotu
kolejnicy z terenu zakładu wód i ścieków. Wyniki badań
zgodnie z rozporządzeniem Ministra Środowiska z dnia 13.04.2002
r. w sprawie jakości wody przeznaczonej do spożycia przez ludzi.

Wzrost wody

Traviata niezdecydowana

Violetta jako współczesna imprezowiczka, oszczędna scenografia, projekcje – spektakl Krzysztofa Nazara ma nowoczesny sznyt, ale przynosi to jedynie częściową satysfakcję

JOANNA TARGOŃ

Violetta Valery nie jest tutaj kurtyzaną – to dziewczyna żyjąca od imprezy do imprezy, lekko i – jak się można domyślać – bez miłości. Za to ze świadomością rychłej śmierci, co reżyser wyklada na samym początku, jeszcze przy uwerwiturze, pokazując Violettę na lekarskich badaniach. Widzimy też wyniki badań w postaci projekcji przedstawiających kolorowe przekroje jej mózgu. Resztki wątpliwości co do stanu zdrowia bohaterki rozwiewa wyrazista pantomima – Violetta chwyta się za głowę, ślania, cierpi. Aż dziw, że za chwilę ma siłę dziarsko wdziąć sukienkę, pantofelki i ruszyć w rozbawiony tłum.

Nie mam pretensji o pomysł pokazania od początku wyroku ciężkiego nad Violettą – ale o wykonanie: pantomimę przesadzoną jak w niemym kinie, nieciekawie rozwiązane projekcje, migoczące nerwowo gdzieś w tle. Projekcje medyczne powrócą na początku III aktu – czerwony za-

pis akcji serca złowieszczę (i zbyt dosłownie) zapowiada scenę umierania Violetty.

Najlepiej z całego spektaklu wypadł I akt. Przede wszystkim z powodu rzadko oglądanego w krakowskiej operze zdyscyplinowania scen zbiorowych i plastycznego, i ruchowego. Na czarnej scenie, na której jedynym elementem scenograficznym są szklano-metalowe ruchome klatki, panowie w czarnych garniturach, panie w szarych sukienkach i jednakowych czarnych perukach. Żadnych rodzajowych akcji i akcyjek, przechadzania się po scenie i udawanego życia towarzyskiego. Chór to jeden organizm towarzyszący głównym bohaterom. Co prawda to rozwiązanie dużo zawdzięcza sławnemu spektaklowi Willy'ego Deckera w Salzburgu (2005, do obejrzenia na DVD), ale czemu nie inspirować się dobrymi wzorami?

Violetta – wyróżniająca się różową sukienką – jest królową przyjęcia i całego towarzystwa. Płyne nad tłumem, unoszona na ramionach siada na kanapie jak na tronie. Edyta Piasecka-Durlak, szczupła i zgrabna, świetnie

MICHAŁ LEPECKI



Krzysztof Nazar nie mógł się zdecydować, czy chce zrobić spektakl osadzony we współczesnych realiach, czy też operujący mocnymi znakami

wyglądająca i znakomicie śpiewająca, nadaje Violetcie stracony rys i chrobliwą wesołość. Adam Zdunikowski (Alfred) w szarym garniturku wygląda raczej na prowincjonalnego urzędnika z ambicjami niż na złotego młodzieńca. Wokalnie jest poprawny,

ale jego Alfredowi brakuje namietności i młodzieńczego wdzięku, co stara się nadrobić nadmierną ruchliwością. Zwłaszcza w II akcie, w scenach rozgrywających się na wsi, gdzie Violetta i Alfred oddają się rozkoszom miłości. Ileż się tam Alfred naskakał po kana-

pie i za kanapą, w koszuli i bez koszuli.

Długa, dramatyczna i pełna napięcia scena rozmowy Violetty i starego Germonta, ojca Alfreda, który chce wyzwoić syna z objęć kobiety upadłej, nie zabrzmiała jak trzeba z powodu niedyspozycji głosowej Andrzeja Bieguna (widziałam spektakl 21 czerwca). Trudno ocenić duet, w którym jedna strona z trudem daje sobie radę ze śpiewaniem.

Kolejna scena zbiorowa, czyli ostatekowy bal u Flory, już nie jest tak ciekawie rozwiązana jak bal w akcie I. Pióra, gorsety, cekiny i falbanki pań, ekstrawaganckie wdziaki panów ani nie są współczesne, ani nie tworzą klimatu, znaczenia, sensu – są tylko efektownymi kostiumami. Deklarowana przez reżysera współczesność, i tak dosyć wąta, oddała się szybko w rejony scenicznej konwencji. I tam już pozostaje, nawet w ostatnim akcie, długiej sekwencji umierania Violetty. Mimo oszczędnej dekoracji (tylko łóżko i krzesło), która zapowiada zwrócenie się ku wnętrzu postaci, znów – jak na początku opery – Violetta okazuje cierpienie z energią i ruchliwością dziwną u osoby mającej ledwie parę chwil życia przed sobą.

Krzysztof Nazar nie mógł się zdecydować, czy chce zrobić spektakl osadzony we współczesnych realiach, czy też operujący – wzorem wspomnianego Deckera – mocnymi znakami. Jak na pierwszą możliwość współczesność jest tutaj zbyt umowna, jak na drugą – zbyt mało dba się o czystość formy. ●

Opera Krakowska. Giuseppe Verdi „Traviata”. Kierownictwo muzyczne – Tomasz Tokarczyk, reżyseria – Krzysztof Nazar, kostiumy – Zofia de Ines, scenografia – Marek Braun, choreografia – Zofia Rudnicka, przygotowanie chóru – Zygmont Magiera, reżyseria świata – Mirosław Poznański. Premiera 18 czerwca 2011

GAZETA

WYBORCZA

27-06-2011

BARAN: Aria z poduszką, czyli Patrzac na „Traviatę”

28.06.2011 — 00:06

Magdalena M. Baran

Aria z poduszką, czyli Patrzac na „Traviatę”

Patrzac, wbrew pozorom. Słuchanie nastrocza bowiem kłopotów – marność nad marnościami w Operze Krakowskiej, gdy idzie o kobiece głosy, bo ani Violetta (Oleś-Blacha), ani Flora (Czastka), mimo poprawności akademickiej, nie oddają ni ducha, ni emocji, jakie niesie ze sobą „Traviata”. Na nic skala, gdy brak czucia, dykcji, rozbawienia, to znów rozpaczy w głosie, jakiegoś zafascynowania tą a nie inną rolą. Na nic skala, gdy reżyser wpółubranej wic się każe po ustawionej na scenie kanapie (do niej wrócimy), czy biegać rękami w tył wyrzuconymi. Zamierzony najpewniej tragizm smakuje farsą i uśmiech gorzki przywołuje w kąci ust. A miało być tak pięknie. Głosowo spektakl ratują panowie – Grokholski pozwala nam uwierzyć, że Alfred rzeczywiście ma dla głównej bohaterki pewne uczucia (niezbyt gorące, ale jednak), zaś Kowalski (w roli jego ojca) jest nader przekonujący. Aktorzy w operze – dwaj, może trzej panowie, dzięki którym spektakl zyskuje na wiarygodności. W tle chórek, bo nie chór przecież, dziewcząt o ledwie słyszalnych, efemerycznych głosikach i mężczyzn, od których trudno uzyskać wsparcie. Całość, wymieszana z baletem, ciągnie go w dół i nawet duet z opowieści o torreadorze wygląda nieco mdławo.

W scenografii pustka. Kanapa, altankowa dwuosobowa wiklinówka czy wreszcie szpitalne łóżko pełnią rolę osobnej sceny. To na nich widać się – w drzwiach, miłosnych czy wreszcie śmiertelno-romantycznych podrygach – bohaterowie opery Verdiego. Na kanapie arie, przez kanapę przeskakiwanie, polegiwanie, oddawanie się wszelkim odczuciom. Pomysł na pozór oczywisty, więcej niż sugerujący, iż to na takich właśnie meblach toczy się życie głównej bohaterki. Rozchlestała baba, jaką reżyser uczynił z Violetty, nie wzbudza jednak ani sympatii, ani litości. Nie takiej Violetty szukałam. Podobne inne kobiety i na wpół ubrani mężczyźni, jakby eksponowane kostiumami klatki piersiowe miały dawać świadectwo o umiłowaniu chwilowości. I znów – jaki porządny, uczciwy w swych zamiarach ten Alfred... ubrany! Verdi i Dumas w grobie się przewracają. Kostium podkreśla nie wyśpiewaną w słynnym toaście miłość czy radość życia, ale użycie, chwilowość i ulotność absolutnie wszystkiego. Jednorazowość, a nie głębię jakichkolwiek przeżyć. Życie prowizoryczne, na niby, na grę, na chwilę. Doznania bez znaczeń.

Choroba (w wersji Nazara całkiem przyzwoicie wymyślony scenograficznie guz mózgu) za głowę się łapie i tyle. Zmagania z nią niedopracowane, nieteatralne, ba, gdybyśmy nie dostali scenograficznych znaków – jak wyświetlane na początku spektaklu wyniki tomografii głowy czy tych kilku, układanych niczym talia zgranych kart, klisz – moglibyśmy mieć wątpliwości, czy bohaterka nie cierpi po prostu na chronicznego kaca po seryjnych imprezach. Linia życia też nazbyt zdrowa, aparatura rejestruje miarowe uderzenia serca, jakby czekająca za oknem śmierć i oczekiwanie na ostatnie chwile z ukochanym, który (być może) przybędzie, nie wywoływały najmniejszych emocji. Serce ani drgnie. Stuka swoje. Aż chce się powiedzieć: miała być namiętność, a tu zimna ryba. Wijąc się w spazmach (tym razem na szpitalnym łóżku), z żalu miętosi poduszkę. Wywracając ją na każdą stronę, dusząc ją i mordując, nie ujmuje sobie choroby, nie wyraża tragizmu. Ba, znów chce się śmiać, więc cichutko rechocze w moim czwartym rzędzie, najwyraźniej dobrze rozumiana przez sąsiada. Biedna Violetta.

Spektakl:

Giuseppe Verdi, „Traviata”, Opera Krakowska, reżyseria i inscenizacja Krzysztof Nazar, premiera 18 czerwca 2011.

* Magdalena M. Baran, publicystka „Kultury Liberalnej”, koordynator projektów IO. Przygotowuje rozprawę doktorską z filozofii polityki.

„Kultura Liberalna” nr 129 (26/2011) z 28 czerwca 2011 r.

1 komentarz do “BARAN: Aria z poduszką, czyli Patrząc na „Traviatę””

1.



Marcin dnia 30.06.2011 o godz. 12:06 mówi :

Tiaaa... widać widzieliśmy, a bardziej słyszeliśmy, co innego :) Ja widziałem wersję z Katarzyną Oleś-Błachą i Grokholskim. I było to zaśpiewane więcej niż dobrze. Bardzo poprawnie, bez przesadnej egzaltacji i bez błędów – solidnie. W ogóle w Traviacie Kraków pokazał najwyższym poziom obk Requiem Verdiego w tym sezonie.... I to wypada i docenić i usłyszeć. Obiektywnie.

Bo subiektywnie można sobie pogaworzyć o scenografii. Ta oszczędna wpisuje się w „nowomodę”, ale moim zdaniem wcale nie tak nachalnie, jak Pani to sugeruje. W sumie co najmniej „czwórka”. Bardzo dobry śpiew i orkiestra Tokarczuka i co najwyżej dyskusyjna scenografia. Pozdrawiam i sugeruję posłuchać jakiegoś przyzwoitego nagrania Traviaty teraz – usłyszysz Pani to, że operowo w Krakowie stworzyli naprawdę niezłe przedstawienie.

Zasłużyć na swój los

Banalna historia. Banalna historia o miłości. Miłości, której należy - ze względu na dobro osoby kochanej - zaniechać...

Odwrócić się, zaprzeczyć, skreślić parę słów w liście, które obrócą wszystko w żart - drobnostkę. Dostać od losu wszystko i wszystko stracić. Historia jak najbardziej realna w świecie mieszczaństwa typu Ikea. Może drażni na początku spektaklu nachalna projekcja video z radioizotopowego badania mózgu - czy nie ma już we współczesnym teatrze spektaklu bez użycia projektora? Obraz ustawia jednak od samego początku optykę interpretacji. Czy najważniejsze decyzje w życiu powinien podejmować mózg, czy serce? Projekcje jeszcze się powtórzą; będzie Broadway, będzie zapis bicia serca umierającej Violetty. To chyba jedyne elementy, które wydają się zbędne w inscenizacji. Reszta - ujmuje.

Rzadko ogląda się spektakle, które sprawiają wrażenie tak niesamowitej precyzji. Każdy ruch, każdy dźwięk, każde spojrzenie, ma swoje określone pole, by zaistnieć we właściwy sposób. Geometrycznie precyzyjne linie scenografii wytyczają silnie skonkretyzowane granice przestrzeni. Nie są to jednak granice przytłaczające. To, co obok fantastycznej pracy solistów (tego wieczoru: Katarzyna Oleś-Blacha i Vasyl Grokholskyi) porywa najbardziej, to niesamowita lekkość scen zbiorowych. Choreografia została połączona ze sceniczną obecnością chóru w sposób tak wirtuozowski (za efekt ten odpowiada Zofia Rudnicka), że nie odczuwa się tego nagromadzenia tłumu postaci, które nagle rozlewają się po scenie. Wszyscy stają się zunifikowaną strukturą poruszaną przez jedną emocję, na każdego z artystów patrzy się jednak indywidualnie, jakby to on był najważniejszy.

Nigdy nie przypuszczałam, że cielesność i fizyczność wykonawców mogą stać się tak istotnymi czynnikami dla przedstawienia operowego. Muzyka? Popisowa forma głosów? To są rzeczy oczywiste. Przykuwała uwagę lekkość, z jaką artyści poruszali się po scenie. Niewymuszona elegancja. Wszystko - drobnostki, za którymi stoi ogrom pracy, wielogodzinne próby, poświęcenia. To piękna umiejętność, by z tak ciężkim bagażem wyjść na scenę i dać się unieść. Piękne doświadczenie dla obu stron, które rozłożyły swoje obozowiska na przeciwnych brzegach kanału orkiestrowego. Katarzyna Oleś-Blacha wykonała partię umierającej Violetty w sposób, który chyba we wszystkich widzach rozbudził nadzieję, wbrew paradygmatowi libretta, że ta historia nie może tak się skończyć. "Pani zasługuje na lepszy los"; ale gdybyśmy wpadli w koleiny innego losu, i zaczęlibyśmy go przeżywać, jak swój własny... i tak niewiele byśmy mieli z nim wspólnego.

**Olga Śmiechowicz
Teatralia Kraków
30 czerwca 2011**

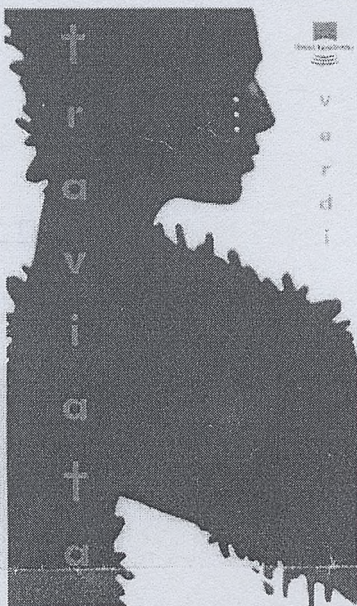
Traviata w Krakowie

**Marek Zabiegaj
Bogdan Zabiegaj**

Najdoskonalsza wśród dzieł operowych, *Traviata* Giuseppe Verdiego nieodparcie kojarzy się nam z wybitnym w światowej literaturze dramatem Antoniego Czechowa *Trzy Siostry*. Specyficzne w sopranowej liryce partie Violetty porównywalne są ze złożonością roli Maszy, będącej kreacją czechowowskiego psychologizowania. Przytoczone postaci stanowią porażające w swej biologiczności studium dramatu kobiety. Realizując tak trudny repertuar, trzeba nie tylko poznać i zrozumieć libretto, ale poczuć liryczną spekulatywność wstępu charakteryzującego werystyczne elementy operowego dzieła Verdiego. Jedynie wysublimowane przejście tego progu pozwala na rzetelne rozwinięcie akcji dramatu. By zaś myśleć o sukcesie, należy dysponować zespołem o znacznym wolumenie głosu, barwnym belcanto, aby faktura dzieła była zgodna z intencją twórców. Jednym słowem, Verdiego i Czechowa należy grać koncertowo.

Wyzwanie takie podjął na scenie Opery Krakowskiej reżyser Krzysztof Nazar, próbując przełożyć *Traviatę* na język współczesnej psychoanalizy. Wiele inscenizatorów tego dzieła starało się bezskutecznie odnaleźć interpretacyjny klucz do jego nowego odczytania, nie wymyślił go również Krzysztof Nazar. Udało mu się jednak dopasować, przy użyciu artystycznych motywacji, swoisty wytrych pozwalający zachować szacunek dla głosu solistów oraz dramatyczną barwę dzieła.

Opera Verdiego stanowi żelazny repertuar wszystkich teatrów operowych na świecie. Libretto pióra Francesco Maria Piave opowiada wzruszającą historię ofiary miłości, balansującej na granicy życia i śmierci. Główna bohaterka, Violetta Valery, dotknięta śmiertelną chorobą, zakochuje się w przystojnym Alfredzie. Sielanka nie trwa jednak zbyt długo, a to za sprawą pojawienia się ojca Alfreda, Georga Germonta, który bezwzględnie kładzie kres tej miłości, tkwiąc w błędnym przekonaniu, iż ratuje przyszłość syna. Osamotniona, skazana na udękę, miotana sprzecznymi uczuciami Violetta czyni ofiarę z opuszczającego ją życia. Obsadę krakowskiej inscenizacji stanowią śpiewacy najwyższej klasy. Edyta Piasecka-Durlak w partii Violetty to aktorska i śpiewacza pełnia. Umiejętnie łączyła głos i gest, śpiew i ruch, zewnętrzną frazę i wewnętrzne emocje. I chociaż momentami w III akcie dało się słyszeć w górnym rejestrze frazę „pod dźwiękiem”, nie zmienia to naszego uznania dla solistki. W rolę Alfreda Germonta zgrabnie wcielił się Adam Zdunikowski. Artysta fascynował bogactwem nastrojów i dojrzałością wokálną, tworząc przejmująco-przekonującą postać. Natomiast Zenon



Kowalski jako stary George Germont wprowadził nas w nieklamany zachwyt, co u krytyków obcujących z operą ponad 20 lat nie jest rzeczą łatwą! Brzmieniowa precyzja, piękne frazowanie, pokaz wokalne maestrii uzupełniony brawurową grą aktorską wzbudzały zachwyt widzów. Skromna, wręcz ascetyczna scenografia Marka Brauna współgrała z reżyserską konwencją i w żadnej mierze nie zubożyła barwności dramatycznej dzieła. O dziwo! Bowiemy przywykliśmy w inscenizacjach operowych do stosownego epokowego *entourage*.

Na wyróżnienie zasługują chór i balet Opery Krakowskiej, będące doskonałym zwieńczeniem przedstawienia. Orkiestra prowadzona przez Tomasza Tokarczyka dała mocne oparcie solistom, aczkolwiek wyraźnie dało się odczuć, iż zarówno we wstęp oraz na początek I aktu wkradła się premierowa trema (na szczęście na krótko!).

Zapraszamy na uwspółcześioną wersję *Traviaty* czytelników „Nowego Czasu”, którzy wybiorą się do Krakowa – warto usłyszeć utwór, w którym rozbrzmiewa uniwersalna i ponadczasowa prawda: myślenie o śmierci daje miłość do życia.



**Edyta Piasecka-Durlak
i Adam Zdunikowski**

NOWY CZAS

05-07-2011

Nazwiska realizatorów pozwalały ze spokojem a i z ciekawością oczekiwać nowej inscenizacji na scenie Opery Krakowskiej najpopularniejszego chyba dzieła Verdiego. Rzeczywistość okazała się bardziej złożona.

Bohaterka *Traviaty* to w zamyśle librecisty i kompozytora kobieta upadła, kurtyzana, która choć poza nawiasem społeczeństwa, zdolna jest do wzniosłych uczuć i największych poświęceń. Jest nie tylko wielką romantyczną heroiną, ale i – poprzez swą przedwczesną śmierć – oskarżycielką powszechnie panującej obludy XIX-wiecznego establishmentu. Dziś zle prowadzenie się czy posiadanie „sponsora” jest tak powszechne, że nikogo nie wyklucza z tzw. towarzystwa (jeśli takowe w ogóle istnieje). Nie chcąc więc opowiadać bajki, pragnąc stworzyć żywy i prawdziwy teatr Krzysztof Nazar w bohaterce opery ujrzał współczesną singielkę dla której najważniejsza w życiu jest doraźna przyjemność. Podobnymi zasadami kieruje się jej otoczenie. Violetta musi jednak w pewnym momencie zmierzyć się z dwoma przeciwstawnymi doznaniem: dowiaduje się o śmiertelnej chorobie i spotyka po raz pierwszy prawdziwą miłość. Decyduje się na przewartościowanie swoich priorytetów. W II akcie zrywa z Alfredem nie tyle na żądanie jego ojca, co ze względu na swoją bliską śmierć, chcąc ułatwić ukochanemu ułożenie sobie życia po jej odejściu. To swoiste uwspółcześnienie nie klóci się z pierwotną ideą dzieła, kładzie natomiast większy nacisk na psychiczne i uczuciowe relacje pomiędzy jego bohaterami, których odtwórcy muszą przekonać słuchaczy do swoich racji. Muszą też – jak to w zwyczaju u Krzysztofa Nazara – wykonać mnóstwo scenicznych działań, bo reżyser jest wrogiem statyczności. Oglądając 18 czerwca spektakl odnosiłam wrażenie, że tych działań jest chwilami za dużo, że troska o ich realizację przeszkadza protagonistom w konsekwentnym tworzeniu postaci, choć zarówno Edyta Piasecka-Durlak w tytułowej partii, jak Adam Zdunikowski jako Alfred czynili wszystko, by należycie sprostać zadaniu. Przede wszystkim dobrze śpiewali, szczególnie Adam Zdunikowski tę krakowską kreację Alfreda może poczytać sobie za sukces. Szczerze mówiąc nie przypuszczałam, że potrafi być w tak świetnej dyspozycji głosowej. Edyta Piasecka-Durlak obdarzona pięknym

sopranem i bardzo przekonującą w dwóch aktach, w finale była już nieco zmęczona co odbiło się na precyzji intonacji. Zamyśl reżyserski w ogóle skłaniał artystkę do sięgania po rodzaj ekspresji bliższy weryzmowi, przez co szwankowało nieco właściwe Verdie-mu belcanto. Pięknie, właśnie „po verdiewsku” śpiewał starego Germonta Zenon Kowalski. Również wszyscy inni wykonawcy, także chór (przygotowanie Zygmunt Magiera), balet i orkie-

opery, to szpitalne łóżko w finale, z którego bez przerwy spadała pościel podnoszona troskliwie przez Aninę (Karin Wiktor-Kałucka) było jedynie oparciem dla niej i obu panów Germont, gdy Violetta umierała na gołej ziemi.

Pewną niekonsekwencję wykazała się też twórczyni kostiumów Zofia de lnes oscylująca pomiędzy współczesnością i stylizacją. Dobrze oglądało się I akt, w którym współczesne stroje współgrały z zamierzeniem reżysera.

Szlachetna singielka

stra pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka, stanęli na wysokości zadania, choć do dyrygenta mam nieco pretensji o zbyt szybkie tempa w dramatycznych momentach akcji, nie pozwalające należycie wybrzmieć muzyce.

Nie brakło jednak w tej inscenizacji elementów dyskusyjnych, budzących mieszane uczucia. Nie podobają mi się ascetyczna scenografia ograniczająca się do czarnych ruchomych płaszczyzn z pleksi, podkreślająca niewielkie rozmiary krakowskiej sceny.

Jeśli w I akcie królująca na scenie karnapa rzeczywiście służyła bohaterom

W II akcie nie umiałam znaleźć uzasadnienia dla paradowania Violetty przed ojcem Alfreda w białiznie. Nieco wątpliwy też był historyzm strojów na balu u Flory (w tej partii Bożena Zawisłak-Dolny) choć można go było usprawiedliwić właśnie balową przebieranką. Natomiast dlaczego w finale garnąca się do życia Violetta na wieść o przybyciu Alfreda chce ubrać balową suknię, jeśli współczesność sytuacji jest podkreślana choćby brzydkim plastikowym kubkiem do wody? Takiej pospolitej brzydoty można by znaleźć w tej scenografii więcej. Być może było to jakieś odwołanie do pospolitości i brzydoty naszego dnia codziennego, ale to przyszło mi do głowy znacznie później. W teatrze po prostu mi się nie podobało.

ANNA WOŹNIAKOWSKA

Scena z II aktu, EDYTA PIASECKA-DURLAK jako Violetta



RUCH Muzyczny

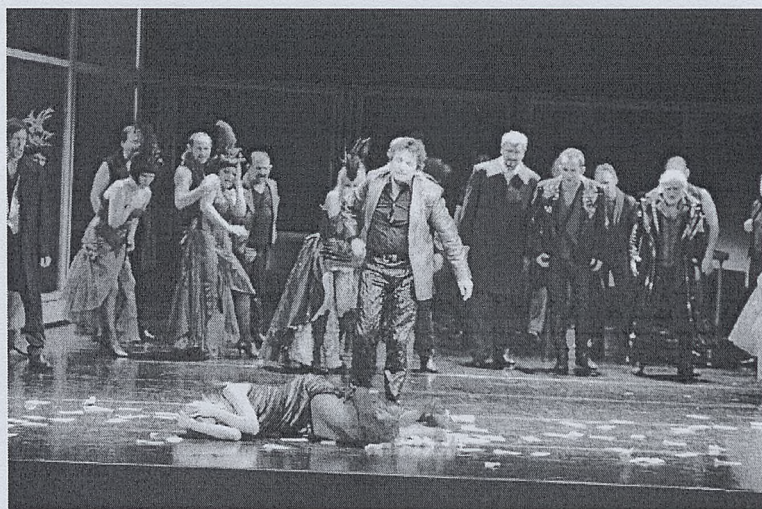
24-07-2011

<http://www.polskamuza.eu/wywiady.php?id=447>

Rzecz o pewnej kurtyzanie

2011-10-20 21:43:12

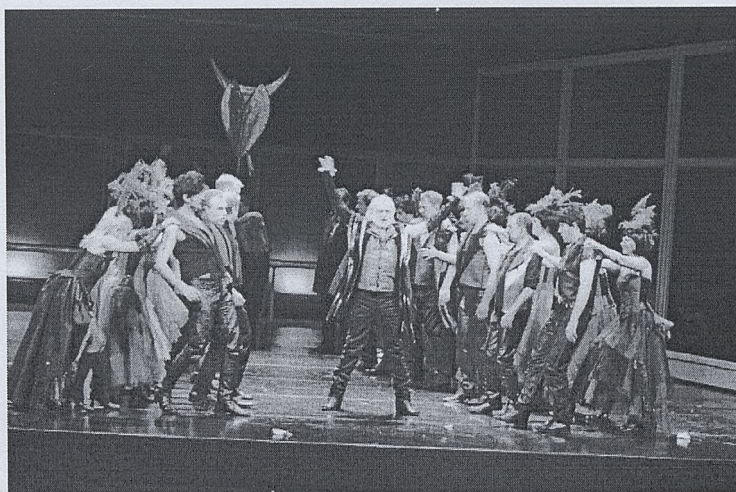
Gdy człowiek dowiaduje się o śmiertelnej chorobie, która go dotyka może wybrać dwie drogi – rozpacz albo pogodzenie się ze swym losem. Taką smutną wiadomość otrzymuje główna bohaterka *Traviaty* – kurtyzana Violetta, która postanawia do końca wykorzystać swoje życie na zabawę i ulotne rozkosze. Jej sielankowe chwile przerywa jednak niespodziewana miłość, którą obdarza ją Alfred. Pokazuje jej, że uczucie, które do niej żywi może być czymś pięknym i trwałym. Jednak na drodze ich szczęścia pojawiają się problemy. Violetta ku swej rozpacz musi porzucić ukochanego w imię szczęścia jego siostry. Poświęcenie jej jest ogromne i bolesne, a do tego nikt nie może jej pomóc.



Fot. Jan Zych

Ale skąd pomysł na taką operę?? Został on zaczerpnięty z powieści *Dama kameliowa* Aleksandra Dumas, którą Verdi oglądał w scenicznej adaptacji. Dzieło to zafascynowało go, gdyż opowiada o kobiecie, która dla miłości potrafiła poświęcić wszystko. Premiera dzieła Verdiego odbyła się 6 marca 1853 roku w Wenecji, jednak publiczność je odrzuciła. Dlaczego?? Być może soliści się nie wykazali albo publiczności nie spodobał się pomysł umiejscowienia akcji w czasach im współczesnych z główną bohaterką jako kurtyzaną. Trudno to określić tym bardziej, że kolejna odsłona tej opery odbyła się już w 1854 roku i cieszyła się ogromnym sukcesem. Kompozytor jednak głęboko wierzył w swoje dzieło.

Podobną taktykę w interpretacji tego dzieła wybrał reżyser Krzysztof Nazar, który umiejscowił akcję w czasach nam współczesnych. Osobiście pomogło mi to w głębszym zrozumieniu tego dzieła i sprawiło, że mogłam mocniej odczuwać wszystko to, co działo się z głównymi bohaterami.



Fot. Jan Zych

Postać Violetty przybliżyła nam Katarzyna Oleś- Blacha, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie, w której obecnie jest pedagogiem. Swoim głosem sopranu koloraturowego cudownie odmalowywała wszystkie emocje, które przeżywała jej bohaterka. Urzekł mnie jej sposób śpiewu i łatwość wydobywania najtrudniejszych melizmatów i najwyższych dźwięków. Zdawało się jakby te wszystkie tony wypływały z jej duszy, jakby bawiła się muzyką, a jednocześnie przeżywała wszystkie emocje swojej bohaterki.

W roli Alfreda wystąpił Vasyl Grokholskyi, absolwent Akademii Muzycznej w Kijowie i solista tamtejszej opery. Obecnie jest także śpiewakiem Opery Krakowskiej. Barwa jego tenoru była niesamowita. Delikatnością swego głosu ukazywał piękno miłości, którą przeżywał odgrywany przez niego bohater.

Innym ważnym elementem była orkiestra, która doskonale współgrała z solistami. Czasem zdarza się, że soliści są zagłuszani przez muzyków, ale na tym spektaklu tak się nie stało. Orkiestra doskonale podkreślała i wyrażała emocje razem z głównymi bohaterami. Muzycy poprzez wydobywane dźwięki ukazywali i podkreślali ważne momenty dzieła.

Spektakl dostarczył mi wielu wrażeń estetycznych, uruchomił we mnie mechanizm przypominający starożytne *katharsis*. Muzyka poruszyła mnie bardzo mocno i czułam, że to jest jej czas i miejsce. Na długo zapamiętam obraz kobiety, która dla miłości potrafiła poświęcić wszystko. Napawa to nadzieją, że prawdziwe uczucie może wkroczyć w życie każdego z nas w najmniej spodziewanym momencie.

Joanna Dąbek